Rok 1901. Lwów, 14. Kwietnia Nr. 15.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów, Cicha 5.


Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.


Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

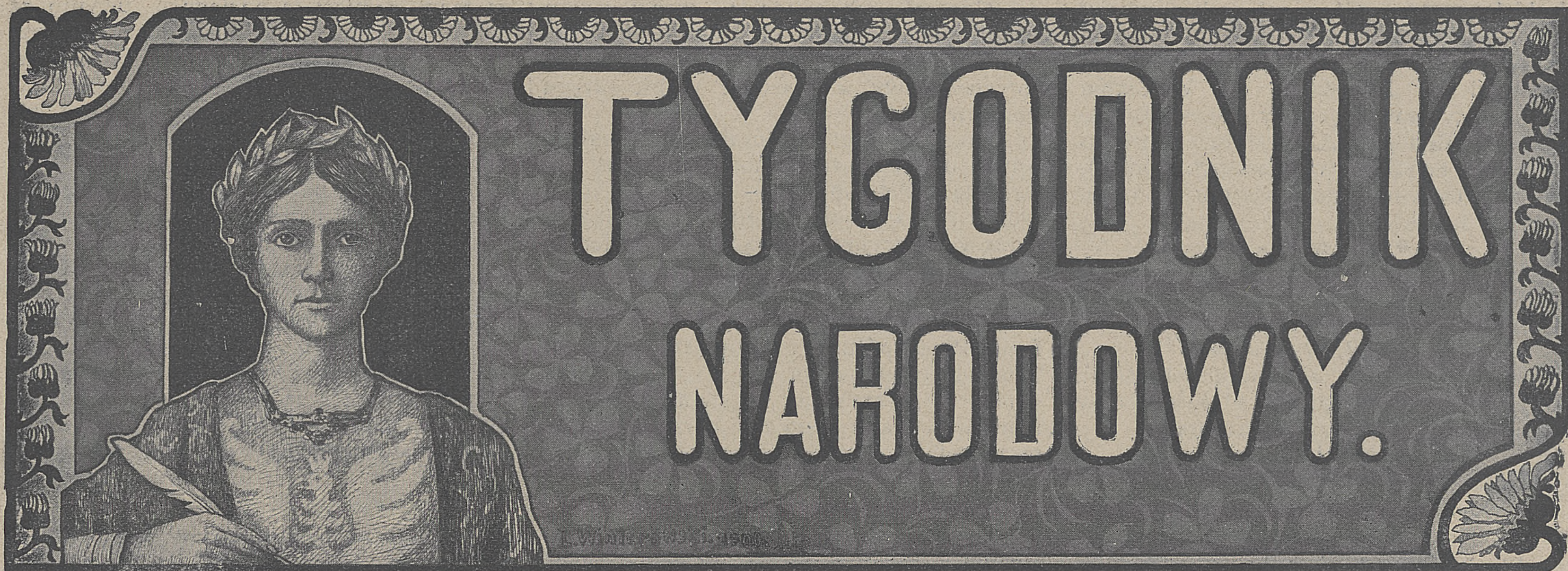
ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 14. kwietnia. Nr. 15.



Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 15:

Jak organizują się Niemcy?

Jedną z cech naszego życia ekonomicznego jest niewątpliwie brak organizacyi i brak instytucyi, któreby dawały dyrektywę i udzielały wskazówek, tak dziś niezbędnych wobec coraz to bardziej skomplikowanych warunków rynku.

Są jednak chwile, kiedy potrzeba ta zaznacza się szczególnie jaskrawo. Taką chwilę przeżywamy obecnie.

Konieczność obrony interesów swoich rozumieją wszyscy; przygotowanie się jednak do niej natrafia na poważne trudności, właśnie z powodu zaznaczonych na wstępie przyczyn.

Wybitne i zwycięskie stanowisko Niemiec na rynku międzynarodowym zawdzięczają one w znacznej mierze temu właśnie, że zrozumiały niezbędność zorganizowania się i utworzyły cały szereg korporacyi przemysłowo-handlowych, oraz instytucyi społecznych i prywatnych (biura informacyjne), które stoją na straży interesów niemieckiego gospodarstwa narodowego i zaspakajają jego potrzeby. A jakkolwiek już dużo zrobili, Niemcy starają się jednak ciągle o różne ulepszenia w tym kierunku. Mamy przed sobą broszurę prof. Vosberg-Rekow'a p. t: Utworzenie centralnego biura do popierania handlu zewnętrznego Niemiec. „*Die Errichtung einer Centrale zur Förderung des deutschen Aussenhandels*". Praca ta jest jednem z licznych wydawnictw „Biura centralnego prac przygotowawczych do traktatów handlowych". Powyższe biuro, jako instytucya z charakterem prywatno-społecznym, skromnymi środkami (budżet roczny 50.000 marek) zaznaczyło już korzystnie swą działalność, dostarczając rządowi swemu szeregu źródłowych materyałów, które dają możność skutecznego poparcia interesów wytwórczości niemieckiej przy zawieraniu traktatów z obcemi państwami. Warto poznać bliżej treść tej broszury.

Życie ekonomiczne Niemiec, mówi prof. V.-Rekow, skomplikowało się w ostatniem dziesięcioleciu tak dalece, że działanie i skutki pojedynczych zjawisk zanikają poprostu w ogólnym ruchu, a całe ich znaczenie i doniosłość dają się obserwować wyłącznie z pewnych punktów. Takiemi punktami obserwacyjnemi mogą być instytucye, któreby kołom handlowo-przemysłowym dawały wyczerpujące informacye na wszystkie pytania, jakie nasuwa co raz to bardziej rozwijający się bieg interesów ogólnoświatowych, a których udzielić człowiek prywatny nigdy nie byłby w możności. Wewnątrz kraju potrzeby te do pewnego stopnia zaspakajają biura wywiadowcze prywatne. Zakres ich działalności urywa się po za granicami własnego kraju. Biura takie np. nie mogą dać wyczerpujących wskazówek o ogólnem położeniu pewnych gałęzi przemysłu w obcym kraju, lub źródłowych danych co do warunków etnograficznych i społecznych, celem skutecznego ich wyzyskania.

Siły, jakiemi rozporządzają prywatne biura wywiadowcze, są w tych razach niedostateczne, bo wogóle instytucye tej miary muszą posiadać wszelkie środki, które mogą być użyte wtedy tylko, jeżeli zostaną oddane do użytku ogółu i nie będą oparte na interesie osobistym prywatnego przedsiębiorstwa.

Dla Niemiec koniecznem jest utworzenie takiego obserwatoryum, z którego możnaby objąć całokształt ekonomicznego życia ludów, uporządkować ten olbrzymi materyał, oddając go na użytek gospodarstwa narodowego. Jako wzór podobnej instytucyi podaje autor Muzeum handlowe w Filadelfii. Zadaniem tego muzeum jest: pomagać amerykańskim rolnikom, fabrykantom i kupcom w wynajdywaniu nowych rynków zbytu; ułatwiać zawiązywanie pożądanych stosunków handlowych z obcymi odbiorcami i wytwórcami, zasięgać w tym celu informacyi ze wszystkich części świata, i, o ile to możliwe, uzupełniać je wzorami, albo przynajmniej opisywać dokładnie wszystkie obce artykuły i dopomagać do ich odtwarzania na miejscu.

Słowem, jest to również biuro informacyjne, ale na wielką skalę, grupujące olbrzymi materyał. A to właśnie daje mu możność objęcia nietylko całego obszaru gospodarstwa narodowego, ale również pokierowania jego działalnością po za granicami własnego kraju. Żeby dać czytelnikom bliższe pojęcie o Muzeum filadelfijskiem, podajemy zarys poszczególnych wydziałów biura informacyjnego tej instytucyi.

1) Wydział dla stosunków z zagranicą (prócz 25 urzędników, 65.000 zagranicznych agentów i korespondentów).

2) Wydział zbierania artykułów, które z korzyścią dla amerykańskiego przemysłu mogą być wprowadzane na rynki miejscowe i tu przerabiane.

3) Wydział tłómaczeń i biblioteka.

4) Wydział ekspedycyi i poczty.

5) Wydział drukarski (maszyny elektryczne, papiernia, introligatornia, zakłady fotograficzne i t. p.)

6) Wydział stenografii i typografii.

Co do informacyi, jakie udziela Muzeum swym abonentom, dla przykładu przytaczamy główniejsze ich kategorye:

1. Stałe informacye o warunkach handlu na obcych rynkach, ze specyalnem uwzględnieniem handlu artykułami, które danego przemysłowca głównie interesują.

2. Informacye o finansowem położeniu zagranicznych domów handlowych.

3. Udzielanie abonentom odpowiedzi co do warunków wprowadzenia ich towarów na rynki zagraniczne.

4. Prowadzenie szczegółowych katalogów firm importujących, oraz kupców z oznaczeniem ich specyalności, kapitału obrotowego i zdolności kredytowych.

5. Wskazówki co do najodpowiedniejszego umieszczania agentów za granicą.

6. Prowadzenie kartkowego katalogu amerykańskich biur przemysłowych i ku-

pieckich ze szczegółowemi wskazówkami i t. p.

Niezależnie od utworzenia podobnej instytucyi w Niemczech dr. V. Rekow w konkluzyi swej broszury projektuje założenie w Berlinie „Centralnego biura do popierania handlu zewnętrznego“. Organizacyę tej instytucyi podaje autor w następujących zarysach:

I. Zarząd.

Biuro centralne i główna registratura.

Sekcye: a) Prasowa, b) Naukowa, c) Statystyczna, d) Biblioteka

II. Wydział zbiorów.

Biuro główne, registratura, katalogi.

Sekcye: a) Czasopism, b) Konzulatów i informacyi c) Korespondencyjna.

III. Wydział informacyi.

Biuro główne, registratura.

Sekcye: a) Polityki handlowej (ogólne informacye, przepisy celne).

b) Komunikacyi kolejowej, żeglugi rzecznej i morskiej, oraz wszelkich innych środków komunikacyjnych, c) Informacyi handlowych.

IV. Wydział techniczny.

W artykule dziennikarskim nie mogliśmy wyzyskać tematu, zaznaczając zaledwie użyteczne punkty wzmiankowanej broszury. Bliżej zainteresowanych odsyłamy do ciekawej tej pracy. W danym razie chodziło nam tylko o poruszenie kwestyi. Czy i o ile powstanie podobnych instytucyi u nas jest potrzebne i w jakim zakresie możliwe, to już rzecz sfer bezpośrednio zainteresowanych, oraz ludzi fachowych i kompetentnych. *Stanisław Pobóg.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Car Mikołaj mianował w ostatnich dniach nowego ministra oświaty, nowego generał-gubernatora dla Królestwa Polskiego i jego pomocnika w dziale wojskowym.

Tak ważne w ostatnich czasach stanowisko ministra oświaty otrzymał generał-adjutant Wanowskij. W reskrypcie, mieszczącym nominacyę, car wyraził się w ten sposób:

„Uregulowanie wykształcenia ludowego stanowiło zawsze jedną z najważniejszych trosk monarchów rosyjskich, którzy dążyli do jego udoskonalenia, licząc się z potrzebami czasu i zasadami rosyjskiego życia. Doświadczenie jednak ostatnich wykazało dotkliwe braki w naszem szkolnictwie, skutkiem czego uważam za stosowne, aby bezzwłocznie przystąpiono do jego gruntownego przeobrażenia i ulepszenia.

„Ceniąc wysoko pańskie doświadczenie, jako męża stanu, oraz pański światły umysł, wybrałem pana za współpracownika w dziele reorganizacyi szkół rosyjskich. Przy powołaniu pana na tak ważne stanowisko ministra oświaty, jestem mocno przekonany, że będziesz pan dążył z całą ścisłością do celów przezemnie wytkniętych, a zarazem wniesiesz do systemu wychowania młodzieży rosyjskiej przez doświadczenie dojrzałego ducha i serdeczną opiekę! Oby Bóg błogosławił naszej pracy! Oby rodzice i rodziny, których w pierwszym rzędzie obowiązkiem jest dbać o swe dzieci, dopomagali nam przy tej pracy! Wtedy szybko przyjdzie czas, gdy ja i mój lud będziemy mogli widzieć z dumą w młodem pokoleniu niezawodną nadzieję ojczyzny i jej silną podporę na przyszłość!“

Generał-gubernatorem warszawskim został gen. adjutant Czertkow, jego zaś pomocnikiem gen. piechoty Puzyrewskij, dotychczasowy szef sztabu wojsk okręgu warszawskiego.

Nominacya gen. Wanowskiego posiada o tyle doniosłe znaczenie, ponieważ jak donoszą z Petersburga — należy ją uważać za rodzaj kompromisu między liberalnymi a reakcyjnymi prądami w sferach rządowych rosyjskich.

Gen. Wannowskij jest u cara „persona gratisima“ i posiada całe jego zaufanie. Przed półtora rokiem przewodniczył komisyi, która badała ówczesne rozruchy studenckie, okazawszy przytem dużo taktu i bezstronności. Jego też staraniom przypisać należy, że car ułaskawił onego czasu prawie wszystkich skazanych studentów.

Gen. Czertkow był w latach sześćdziesiątych genorał-gubernatorem kijowskim, gdzie pozostawił po sobie względnie sympatyczne wspomnienia. Uchodzi on za zwolennika idei liberalnych z czasów Aleksandra II.; dlatego też za czasów Aleksandra III. pozostawał w niełasce i żadnych funkcyj rządowych nie spełniał.

Nominacya Czertkowa jest więc z pewnością niespodzianką dla niego samego, a cóż dopiero dla Królestwa polskiego! W Warszawie wprost wierzyć nie chciano, gdy wiadomość o tej nominacyi nadeszła tam podczas świąt Wielkiej Nocy. Młodsza generacya polska nie spotykała się nigdy z tem nazwiskiem, którego właściciel uchodził za zgasłą wielkość czynnniczego świata. A przecież w ręce tego starca złożono losy Królestwa Polskiego!

Gen. Puzyrewskij wreszcie cieszy się sławą jednego z najuczeńszych i najzdolniejszych wojskowych rosyjskich. Między innemi jest autorem pomnikowego dzieła p. t. „Wojna polsko-rosyjska w 1831 r.“, napisanego z wielką objektywnością i tłómaczonego na wiele języków europejskich a także na język polski.

* * *

Przeciwnicy ustawy o kongregacyach duchownych nie utracili jeszcze nadziei, że uda im się w senacie francuskim pokrzyżować plany gabinetu i jego radykalnych stronników i albo uniemożliwić przyjęcie całego projektu lub przynajmniej złagodzić go jeszcze. W tym celu stronnictwo Méline'a postanowiło wyzyskać wakacye wielkanocne i chce mianowicie skłonić rady departamentów do uchwalenia protestów. Nadzieje, że te protesty zrobią wrażenie w senacie, są jeszcze bardzo mało uzasadnione. W tem ciele prawodawczem Waldeck-Rousseau miał zawsze wiele liczniejszych i wierniejszych stronników, niż w izbie poselskiej, i trudno się spodziewać, aby senat w czemkolwiek miał sprzeciwić się woli gabinetu. Nie jest zas prawdopodobne, aby ministerium w chwili ostatniej miało wyrzec się zupełnie swoich zamiarów.

Wprawdzie nie ulega żadnej wątpliwości, że ani rząd, ani radykaliści nie są zadowoleni z projektu uchwalonego przez Izbę poselską. Rachuby na wielkie zyski, które były główną przyczyną wystąpienia przeciw kongregacyom, zawiodły zupełnie. Mówiono o olbrzymim majątku tych stowarzyszeń, obliczono go w umyślnie sporządzonej ankiecie na miliardy franków, chciano z funduszów kongregacyi utworzyć kasy dla robotników, a tymczasem wykazało się, że wszystkie te rachuby były mylne. Ankieta była fałszywa. Nie uwzględniono hypotek, a gdzie je uwzględniono, tam doliczono je do majątku kongregacyi, zamiast je odciągnąć, uznano za własność kongregacyi posiadłości wydzierżawione, nawet protestanckie i żydowskie. Ogółem skutkiem zniesienia kongregacyi skarb państwowy zyska tylko kilkaset milionów, a musi przyjąć wielkie ciężary, liczne szpitale, ochronki itp.

Bardzo jest nawet możliwe, że w rękach rządu fundusze zabrane nie wystarczą nawet na utrzymywanie wszystkich instytucyi dobroczynnych, które dotąd istnieją przy kongregacyach. Dlatego radykaliści i demokraci społeczni nie chcą zadowolić się tym zyskiem, lecz pragną zniesienia wszystkich zakonów i kongregacyi, nawet dozwolonych przez prawo. Na to ministeryum pozwolić ani nie chce ani nie może; ale wydawszy hasło zwalczania kongregacyi, nie opartych na prawie a wrogich dla republiki, nie cofnie się w chwili ostatniej, bo upadłoby wraz ze swoim projektem.

* * *

W ostatnich dniach umarł w Sofii były prezes ministrów, jeden z najwybitniejszych polityków bułgarskich doby ostatniej, Konstanty Stoiłow, w 49 roku życia. Urodzony w r. 1852, Stoiłow kształcił się zagranicą, zwłaszcza w Niemczech, powrócił podczas wojny rosyjsko-tureckiej do Bułgaryi, która podówczas była pod władzą Turcyi, i odtąd brał żywy udział w ruchu politycznym. Na zebraniu ustawodawczem w Tirnowie w r. 1879 uwydatniły się jego wybitne zdolności polityczne. Dwudziestosiedmioletni prawnik zdobył na tem zebraniu wpływ poważny, został wybrany do delegacyi, która zawiadomiła ks. Aleksandra Battenberga o powołaniu na tron młodego księstewka i objął pod rządami tego księcia prezydyum gabinetu. Nie wiadomo, czy był wmieszany do intryg, które doprowadziły do upadku ks. Aleksandra; w każdym razie był podczas regencyi znowu ministrem i odgrywał wybitną rolę przy układach z powołanym na tron bułgarski ks. Ferdynandem Koburskim. Także ks. Ferdynand, jak niegdyś Aleksander, powierzył jemu kierownictwo gabinetu. Niebawem jednak energiczny Stambułow złamał jego wpływy i stanął na czele rządów, aby zaprowadzić ostatecznie ład w stosunkach krajowych. W roku 1894 Stambułow padł ofiarą zbrodniczego zamachu. Miejsce jego zajął natychmiast Stoiłow i pozostał powiernikiem księcia do roku 1899. Za jego radą ks. Ferdynand wysłał do Petersburga uroczystą deputacyę, która została przyjęta przychylnie. W następstwie tego stosunki z Rosyą polepszyły się znacznie. Ks. następca tronu Borys otrzymał chrzest według obrządu prawosławnego, a Ferdynand zyskał uznanie jako książę Bułgaryi. Równocześnie oziębiły się stosunki Bułgaryi z Austryą i naprawiły się dopiero po ustąpieniu Stoiłowa, w roku 1899. Podczas swoich kilkuletnich rządów, Stoiłow starał się o naprawę opłakanych stosunków finansowych państwa, ale bez powodzenia. Zarzucano mu w Bułgaryi powszechnie nieuczciwe postępowanie przy konwersyi długów państwowych i układach o budowę kolei, posypały się gwałtowne protesty, sam książę podobno uwierzył, że zarzuty, które robiono ministrowi, były uzasadnione, i w r. 1899 Stoiłow podał się do dymisyi, a miejsce jego zajął Grekow. Bądź jak bądź, rząd Stoiłowa stanowi epokę w życiu państwowem Bułgaryi, a zwłaszcza w stosunkach zewnętrzno-politycznych księstwa.

Opłakane stosunki.

Czerniowiecka rada miejska od lat kilku obraduje od czasu do czasu nad sprawą założenia własnej miejskiej Kasy oszczędności. Jedna z takich dyskusyi toczyła się tam właśnie przed kilku tygodniami, a że wybiegła daleko poza stosunki lokalne i rzuciła jaskrawe światło na położenie ekonomiczne dwóch sąsiednich krajów, Galicyi i Bukowiny, przeto poczuwamy się do obowiązku zaznajomić z nią czytelników.

Wspomniane obrady rozpoczął radny, p. Adolf Wallstein, z zawodu publicysta, człowiek na Bukowinie wyjątkowy, zarówno co do wysokiej inteligencyi, jak i pod względem zapatrywań politycznych. Jest to, omal że nie jedyny z tamtejszych niemieckich żydów, którzy nie uginając karku przed germanizacyjną polityką sfer decydujących, stoi na stanowisku równouprawnienia narodowości, a odnośnie do Galicyi nie żywi tej ślepej zawiści i nienawiści, jaką chełpią się tem nawet „bracia-Rusini“, wykrzykujący wraz z Niemcami: *los von Galizien*. Dowód sprawiedliwego, a — wśród danych stosunków — odważnego sądu pod tym względem złożył p. Wallstein właśnie przy wspomnianych obradach, podnosząc przedewszystkiem, że ta Galicya, przeciw której w pewnych sferach bukowińskich panuje, niestety, niczem nieuzasadniona niechęć, jest w wielu kierunkach siostrzycą Bukowiny, dzielącą wspólną dolę opuszczenia i lekceważenia ze strony czynników, decydujących w monarchii, a tem samem, w obopólnym interesie obu krajów leży, iżby zamiast swarów i antagonizmu, do łącznej a zgodnej przystąpiły obrony i pracy.

Na dowód tego przedstawił p. Wallstein obraz ekonomicznego położenia Bukowiny i Galicyi, illustrując go cyframi tak wymownemi, że w interesie społeczeństw obu krajów należy bliżej się im przypatrzeć. Dotyczą one obdłużenia ludności.

„Pozwólcie, — rzekł mowca — bym zestawił stosunek nietylko stanu dłużnego, lecz także jakości długów krajowych do gęstości kas oszczędności i bym tem poruszył ów moment, który co do interesu i ważności dotyczy wszystkiego, co dotychczas mogłem Panom powiedzieć; dotyczy to bowiem rdzenia narodu i całkowicie wyjaśnia źródło jego nędzy.

Zestawmy więc sobie najpierw odnośnie do długów hypotekarnych, z jakim procentem żądań ciążą na tem kasy oszczędności.

Daty te są warte poznania.

Stan hypotekarny długów wedle krajów jest następujący: Są dłużne: Dolna Austrya 974,563.462 zł., na tem ciążą dolnoaustryackie kasy oszczędności 297,805.652 zł. t. j. 30·5 procen. Górna Austrya 186,826.063 zł., na tem ciążą górno-austr. kasy oszczędności 92,298.979 zł. tj. 49·5%. Salzburg 51,057.464 zł. (23,581.174 t. j. 45·5%). Styrya 294,117.125 zł. (129,317.719 zł. tj. 44%) Karyntya 79,670.425 zł. (19,143.801 zł. tj. 24%). Kraina 76,601.751 zł. (23,105.203 zł. tj. 30%). Pobrzeże 96,054.633 zł. (7,487,721 zł. t j. około 7·8%). Tyrol z Voralbergem 344,044.388 zł. (66,138.167 zł. t. j. 50%). Czechy 1.511,153.349 zł. (389,345.624 zł. t. j. 25·9%) Morawy 421,438.418 zł. (84,269.200 zł. t. j. 20%). Śląsk 120,839.796 zł. (30,267.106 zł. tj. 25%). Wreszcie Galicya 494,898.294 zł., na czem ciążą gal. kasy oszczędności 54,446 602 zł. tj. 11% i Bukowina 41,700.358 zł., na czem ciąży bukow. kasa oszczędności 3.624.839 zł. tj. 8·5 proc.

Musi więc i musiała posiadłość realna owych krajów, gdzie kasy oszczędności, szczególnie banki nie mogły więcej pokryć kredytowego zapotrzebowania, szukać dalszych sum u innych źródeł pożyczkowych, a wskutek tego miały szukać pdkrycia po wyższej stopie procentowej aniżeli za pożyczkę kasy oszczędności: Górna Austrya, Salzburg i Styrya za około połowę swego długu, Dolna Austrya i Kraina za dwie trzecie, Karyntya, Czechy, Śląsk za blizko trzy czwarte, Tyrol z Voralbergiem i Morawy za więcej niż cztery piąte. Galicya jednak za więcej niż ośm dziewiątych, a Bukowina nawet za więcej niż jedenaście dwunastych, więc za prawie 12 części swych długów.

Podczas gdy więc wszystkie inne kraje w skutek swych bogato rozwiniętych kas oszczędności miały ściągać stosunkowo tylko małą część swych długów hypotekarnych przy wyżej oprocentowanych pożyczkach, muszą Galicya i Bukowina za największą część swoich długów realnych płacić wyższe procenta.

Co tedy za znaczenie ma ten stosunek dla życia ludów w Austryi, a szczególnie u nas? Zostańmy jeszcze przez chwilę przy ogólnym stanie długów Austryi.

Licząc stan od r. 1898, wynosi hypotekarny ciężar długów wszystkich rodzajów posiadłości okrągło 4683 mil. zł. Rozumie się bez długów zapisanych w księdze gruntowej kolei żelaznych w kwocie okrągło 2.000 mil. guld. i także bez specyalnej hypoteki, przeznaczonej na pokrycie rewersów salinarnych w kwocie okrągło 102 mil. Na tem ciężą z publicznych instytutów w okrągłych cyfrach: 1) kasy oszczędności 1221 milionami guld., 2) banki krajowe 536 mil. guld., 3) zakłady listów zastawnych kas oszczędności 20 mil. guld., 4) kumulatywne kasy sierocińskie 90 mil. guld. i w końcu 5), austryackie Banki akcyjne 176 mil. guld. Żądanie więc wszystkich tych pięciu instytutów wynosi



WOJNA PRZYSZŁOŚCI.

2.043 mil. guld., a przeto pozostaje jeszcze 2.640 mil. guld. długów hipotekarnych, których wierzyciel musi jeszcze być szukany. Lecz jasne to, kto nim jest: jest to prywatny pieniądzodawca; 2640 mil. guld. wypożyczył on i jemu jest się przeto winnym. Lecz kto je winien? Kto jest ponosicielem tego olbrzymiego ciężaru dłużnego?

Ponieważ przy swym teraźniejszym stanie kasy oszczędności, jak także banki akcyjne i krajowe przeważnie albo niekiedy nawet wyłącznie obciążają tylko tak zwane przedniejsze gatunki posiadłości, mianowicie: kopalnie górnicze, dobra ziemskie i większą posiadłość domową w miejscach obowiązanych do podatku domowo-czynszowego, jest przeto znowu bezwątpienia jasnem, że ten prywatny wierzyciel z swem żądaniem 2640 mil. guld. ma za dłużnika małą posiadłość miejską i wiejską.

Małomieszczanie i właściciele małych posiadłości w Austryi są więc obdłużeni hypotekarnie na 2640 mil. guld., a jeżelibyśmy nawet odjęli pewien procent od tej sumy, to w każdym razie jako pewna, niezbita cyfra długów małej własności zostaje suma 2100 mil. guld.

2100 mil. guld. jest dług małej własności. Jak wiele musi ona na to płacić procentów? Wedle moich ścisłych dochodzeń wynosi w austryackiej małej własności przeciętna hypotekarna stopa procentowa za prywatny kapitał pożyczkowy najmniej 9 proc. a na mocy tego ma więc mała własność w Austryi płacić rocznie procentów od długów hypotekarnych 189 mil. guld. bez amortyzowania dłużnego kapitału.

Czy jednak możecie panowie znieść ten ciężar procentowy? Stawiam to pytanie z dokładną rozwagą, nietylko dlatego, że odpowiedź nań rozjaśnia w sposób błyskawicy głębokość zła społecznego, lecz szczególnie także dlatego, że ona jak nic innego oświetla nasz temat kas oszczędności.

Powtarzam pytanie, czy mogą włościanie i małomieszczanie znieść ten ciężar procentowy!

Zapraszam Panów, byście zemną odpowiedź na to pytanie szukali w badaniu stosunków Galicyi a zwłaszcza Bukowiny, które to stosunki jako pouczający przykład, są pełne największego interesu nie tylko dla nas, ale także dla całej Austryi.

Hypotekarne długi Galicyi i Bukowiny, które ekonomicznie są jeszcze ściślej i nierozłączniej spojone aniżeli przez administracyę, wynoszą licząc wszystko podług stanu z r. 1898, na wszystkie rodzaje posiadłości razem dla Galicyi okrągło 42 mil. guldenów. Na tem ciężą: 1) kasy oszczędnościowe obu krajów 58 mil., 2) banki krajowe 102 mil., 3) kumulatywne kasy oszczędności 2 mil., 4) zakład listów zastawnych bukow. Kasy oszczędności okrągło 300.000 zł. a 5) inne austr. Banki akcyjne 92 mil. zł.

Razem więc 314 milionami guld. cięży 5 wspomnianych zakładów na własności realnej tych dwóch części państwa.

Jeżeli zaś odejmiemy jak poprzednio pewien procent to pozostanie 200 mil. guld jako żądanie prywatnego wierzyciela a zarazem jako dług małomiejskiej i wiejskiej własności w Galicyi i na Bukowinie; 200 tych mil. daje przy 9 proc. tylko oprocentowaniu bez amortyzacyi kapitału rocznego zobowiązania procentowego 18 mil. guld. Jeśli dług ten rozdzielimy na obie kategorye dłużników, mianowicie na małomieszczaństwo i włościaństwo, to wedle moich dochodzeń mieszczaństwo galicyjskie i bukowińskie jest winne $^1/_4$ t. j. 50 milionów i ma za to płacić procentów bez amortyzacyi kapitału 4,500.000 zł. a włościaństwo obu krajów jest dłużne $^3/_4$ długu tj. 150 mil. i wskutek tego znów bez amortyzacyi kapitału ma płacić rocznie 13.500.000 zł. procentów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Szarjan.

    Raz na tydzień.    

— „Ogromnie“ lubię lombardy!!... — odezwał się znienacka pan Stanisław, ciągnąc trzecią z kolei oranżadę w cukierni pod filarami.

— Lombardy? — powtórzyłem — szczególniejsza sympatya! Chyba jesteś pan akcyonaryuszem jednego z dwóch „Towarzystw na zastaw ruchomości...“ albo cichym wspólnikiem jakiego Mordki, czy Szapsiowej...

— Masz mnie za kapitalistę! Komplemencista z pana dobrodzieja! He-he! A jednak tego, co powiedziałem, nie cofam.

— Także to? Więc lichwa ma w panu...

— Et, frazesy! Nie byłeś pan nigdy w tem położeniu, że naraz, ni ztąd ni zowąd, zabrakło ci, przypuśćmy, pięciu, dziesięciu rubli? A tu wypadek gwałtowny, natychmiastowy... słowem jakieś *periculum in mora!*

— Przyznaję! — odparłem po namyśle. — Zdarzyło się nieraz, że trzeba było pożyczyć od kogoś ze znajomych...

— Otóż właśnie! — podchwycił pan Stanisław, spoglądając na mnie z zazdrością — nie każdy ma takich znajomych, albo nieraz zdążył już wyczerpać dobroczynne źródła przyjacielskiego kredytu.. tymczasem... nóż ma na gardle! Weźmy, naprzykład, mnie! Zanim jedna pożyczka na pensyę się spłaci, już druga się zaciąga; dalej, niezależnie od tego, w połowie miesiąca pensya już jest aż do pierwszego najstaranniej wybraną, krótko mówiąc, zwykła sytuacya subjekta handlowego No, i pierwszego dnia wstaję sobie w dobrym humorze, idę do budy, tu nagle chwyta mnie taki „kurcz“ portmonetkowy! Brak piętnastu rubli!.. Oglądam się... pertraktuję z kasyerem, zwracam się do rozmaitych takich samych, jak ja, Krezusów... i niema!... Wówczas zerkam na moją złotą „cebulkę“ z łańcuszkiem, chwytam za kapelusz i niosę ją na „naukę hebrajskiego“!... Bez łaski, bez kłopotu mam pieniądze! Prawda, dwadzieścia cztery na rok od sta... to okropność, lecz co robić!?...

— Jest przecież miejski lombard!..

— Ba, ba! O Arkadyi mi pan mówisz! Sześć na rok! Znakomita instytucya... Ale, na moje nieszczęście, nie pamięta o tem, że pojęcie „lombard“ równa się — „gwałtu, nie mam grosza!“ Otóż moje „gwałtu“ nie pozwoliło mi ani razu zatrzymać się do drugiego dnia i stawić się w czasie, gdy „miejski“ ma „wolną“ gotówkę i godziny przyjęć. Z drugiej strony, powiem panu szczerze, iż nie pamięta ten poczciwiec o zasadzie „*bis dat, qui cito dat*“ i prowadzi dotąd uciążliwą i długą manipulacyę biurową, skazując swoich interesantów na wielką stratę czasu! W prywatnych zaś co innego! Tam operacya krótka i taksa wspaniałomyślniejsza. Ja zaś w tym kierunku do takiej doszedłem wprawy, że na pamięć wiem, ile który lombard da na zegarek, ile na ametysty żony... a ile na obrączki! Im większy lichwiarz, tem większa pożyczka!!...

— Więc bywa pan w tak smutnem położeniu, że i obrączki ślubne...

Pan Stanisław ramionami wzruszył.

— E, mój panie, żarty chyba! Obrączki! Jużbyś rad w tem dopatrzeć się dramatu!... „Ona ręce załamuje... on wielkimi krokami mierzy pokój, spoglądając ponuro w mgliste pomroki jesiennego wieczoru i t. d.“ — Proszę pana, wy chyba wcale nie znacie ani siebie, ani swego otoczenia. Wiesz pan, jak się taka manipulacya nazywa? — Mówię: Maniu, potrzebuję gotówki! Nie ma skąd wziąć! Ona odpowiada: — Więc idź do lombardu... ale co?!... No i kalkulujemy razem, składając się wspólnie na fant!... Zresztą, nie wiem jak kto, lecz ja byłem wychowany w tem, że jak nieboszczyk ojciec dawał matce prezent na imieniny lub gwiazdkę (zawsze coś ze srebra lub złota) a matka uradowana wyrzucała mu, że zbytki robi, odpowiadał: — „Moja Julciu (mojej matce było Julia Magdalena) to się nie zmarnuje, w razie potrzeby będzie co zastawić!... To też po śmierci rodziców zostało się piętnaście kwitów lombardowych... A jedna bransoletka już dwadzieścia lat leży w lombardzie!!...

— Dwadzieścia lat! Po 24%! To już blizko trzy razy spłacił pan pożyczkę!...

— I w tem sęk! Wy, panowie piszący codzień, snujecie jakieś projekty doniosłe,

rozprawiacie o różnych pożytecznych instytucyach, opowiadacie o kredycie, a o takiem a, b, c, zapominacie! Gdybyż choć dała się przeprowadzić bodaj najdrobniejsza amortyzacya! Gdybyż każdy z nas, opłacając słone procenty, pracował nietylko na lichwę dla kapitalistów, ale choć odrobinę dla siebie. Naprzykład żeby z tej branzolety umarzało mi się bodaj cztery procent długu — to dziś byłaby w połowie spłaconą! Co tu, panie, mówić, źle jest, niedobrze i koniec! Mało lombardów! Te co są, litości nie mają!!..

— Słowem — odezwałem się wpół żartem, ubawiony nieco tem lombardofilstwem — chciałbyś pan na każdym rogu ulicy widzieć napis... „Kasa zaliczkowa na zastaw...“

— A co pan sądzi! — przerwał gwałtownie pan Stanisław. — Kto chodzi do lombardów?!... Zdaje się panu, że tylko nędzarz z Powiśla, wyrobnik, urzędnik bez posady?!.. Wy o tem wyobrażenia nie macie! Wszyscy chodzą! Nawet memu „staremu“ jak zabraknie gotówki, to „butony brylantowe“ pryncypałowej jadą cichaczem na wagę taksatora! Zobacz pan sam, przekonaj się tylko! Znajdziesz w lombardach wszystko, począwszy od kandelabrów, nakryć stołowych, futer... radców, adwokatów, doktorów aż do rowerów, fortepianów, luster i biżuteryi. Czegobym chciał?!... Ja bym chciał, proszę łaskawego pana, aby przedewszystkiem takie „Towarzystwo subjektów handlowych“ otworzyło lombard dla swoich członków! Ewikcya pewna, a pożytek doniosły, zwłaszcza gdy lombard będzie z amortyzacyą! Tego rodzaju drobny kredyt jest bodaj u nas najpilniejszym. W końcu tu nie idzie nawet o szczególniejszą filantropię!!... Tylko odrobina dobrej woli i uczciwości i chęć... zrobienia dobrego interesu. Tak, bo to lokata kapitału pewna w zupełności i, niechby, siedm procent... a nadto zasługa, że setki tysięcy, ludzi wydobędą się z rąk spekulantów, czy poprostu lichwiarzy!

— Przepraszam — a czy zdarzyło się panu, żeś procentu w terminie nie opłacił i fant przepadł?!...

— Ba! — westchnął smutnie pan Stanisław — tabakierka pamiątkowa ojca przepadła! Sto rubli pożyczki. . a jubilerzy dawali dwieście pięćdziesiąt!...

— Lecz zwrócili panu zapewne przewyżkę?!...

— Chybaś pan spadł z księżyca! Rubel i piętnaście kopiejek! Pana to dziwi.. a no proszę czytać uważnie... „W lombardzie X. sprzedano 465 fantów, przyczem osiągnięto przewyżki 328 rubli.. “ Innemi słowy, licytacye w lombardach to znów drugi „interes“, uprawiany przez właścicieli „kas“ do współki z bandą żydów, słomianych licytantów i faktorów. Idź się pan przekonać! Tłok, ścisk — fantu nie dadzą obejrzeć, nie słuchają, gdy chcesz licytować, upartych wpędzają na przedmioty bezwartościowe, a rzeczy cenne pocichu znikają! To rozbój! Rozbój wśród białego dnia! A co żydkowie wyrabiają w dzielnicach biedy a nędzy? Tam wyrobnik nigdy nie może się z kwitem połapać! Biorą, co chcą, utrzymują ciche książki dla uniknięcia kontroli, sprzedają fanty kiedy im się podoba!!... No, zagadałem się tu z szanownym panem, trzeba uciekać do „budy“... Ale nie ma pan przypadkiem dwóch rubli przy sobie?!...

„Przypadkiem“ miałem. Pan Stanisław potrząsnął zamaszyście moją ręką i zniknął w drzwiach cukierni. Poruszony tym lombardowym traktatem, patrzyłem przez okno na obszerny plac, zastanawiając się nad oryginalnemi uwagami. Wtem przed cukiernię zajechała błyszcząca kareta, zaprzągnięta w parę rosłych anglezów, z karety wyskoczył elegancki mężczyzna... Nie wiem zkąd mi przyszło, że zainteresowałem się osobistością właściciela karety i zagadnąłem w tej mierze wszystkowiedzącego służącego „Józia“.

— To go pan nie zna? To XX!!... Miał kapitalik spory; przez dwa lata myślał nad tem, do jakiego by się wziąć interesu... aż w rezultacie założył lombard akcyjny! Panie, to milioner za kilka lat pewny!...

— Hm — pomyślałem. — A może pan Stanisław ma racyę! — i owe „dwa ruble“ dopisałem do „kosztów“ feljetonu dzisiejszego.



Krak.

Młoda Polska w Krakowie.

Dr. ZOFIA DASZYŃSKA-GOLINSKA.

Podania i wspomnienia dawne lubują się w wyidealizowanym typie młodych, szlachetnych, subtelnych kobiet, ktore schodziły ze swojej wyżyny do siedliska nędzy, choroby, opuszczenia, opatrywały rany, karmiły głodnych, podnosiły dusze samym tworu widokiem, wzmacniając wiarę w istnienie pierwiastku dobra...

Kobiety te z końcem XIX. wieku stają się bohaterkami „nauk społecznych“ — jak pani Zofia Daszyńska.

Mężczyzna, rzucający się w wir nauki, szuka przedewszystkiem prawdy — kobieta dobra...

Pamiętam kilkakrotne wystąpy publiczne byłej docentki berlińskiej „akademii Humboldtów“. Ze spokojnych, czysto naukowych wywodów bije zawsze to jedno pragnienie, wieczysta tęsknota, wzlot silny i bezustanny... Dobra — dobra społecznego!... Nauka jest tylko balsamem, jest owym lekiem dobroczynnym, którym dawniej, w innych warunkach, byłaby opatrywała chorych, jest chlebem i winem, które byłaby im codzień nosiła... A gdy uczona ekonomistka objęła była przed dwoma laty (po Górskim i Sewerze) redakcyę „Życia“, było pierwszym jej słowem, pierwszym artykułem: „Etyka w ekonomii społecznej“. Tuż obok niej przebywała sztuka dla sztuki, gardząca tłumem, nieznająca praw i celów w społeczeństwie, a jakże łatwo przywileje te uzurpować także



Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.

nauce, prawdzie, będącej wszakże samej sobie celem. Pani Daszyńska powtarzała jednak: etyka... dobro... I dlatego też w ostatniej swojej większej pracy, uwydatnia tak gorąco czynniki etyczne, przyświecające nowym prądom w obozie społeczników, z miłością zatrzymuje się przy pracach Webbów, podkreślając, że „ideał etyczny stać się musi ideałem społecznym“, z entuzyazmem mówi o Williamie Morrisie, wyprowadzającym radykalny ustrój przyszłości z konieczności moralnych, czoło schyla przed Ruskinem, widzącym siłę narodu w moralnej wolności jego członków, a bogactwo — w ilości produktów, służących do wyżywienia, odziania i racyonalnej rozrywki d o b r y c h m ę ż c z y z n i kobiet.

Moralnych — to znaczy dobrych, pełnych miłości, altruizmu, solidarności i umiejętności podporządkowania swego ja nakazowi ideału...

Czy tak daleko w swojej świadomości dochodziły także te szlachetne samarytanki, które wchodziły do chat biednych z chlebem i pociechą?

Jest więc postęp... A p. Daszyńska jedną z pierwszych reprezentantek nowego typu kobiety-człowieka...

Intellektem kieruje kobieta w najpiękniejszem znaczeniu wyrazu, ale i intellekt uległ zmianie.

Pragnienie dobra góruje, jednakowoż niemniej silną jest chęć poznania, zdolność i siła do teoretyzowania. Kiedy młoda, szykowna w każdym calu warszawianka, panna Poznańska, wyjeżdżała na studya do Zurychu, mało kto przypuszczał, że za kilka lat będzie ona autorką pracy „Die Bevoelkerung von Zürich im XVIII. Jahrhundert", pracy, której uląkłby się z pewnością niejeden z tych panów, którzy tak imponują poczuciem swojej wyższości. „Ludność Zurychu w XVIII. stuleciu" — badania archiwalne i historyczne, setki grubych foliałów, — owocem dziesiątki żmudnych tabel, że oczy bolą od cyfr, cyfr, i jeszcze raz cyfr... A praca pozostała w literaturze ludnościowej statystyki historycznej, obok prac takiego Büchera. W naszej literaturze pozostanie też „zarys ekonomii politycznej", choćby „szkoła krakowska" jak najbrutalniej się na nią rzucała, choćby ją sto razy mocniej potępiała za dowody i twierdzenia, oparte na argumentach — „uczuciowych"... I wszyscy ci mądrzy, głębocy, świetni profesorzy, zagarniający dla siebie uprzywilejowane stanowisko w imię swego arystokratyzmu naukowego, wszyscy ci mandaryni, zdobni dziś w żółte kaftany, jutro w togi rektorskie a pojutrze w mundury ministeryalne, nie zmażą faktu, że po Bilińskim w Galicyi pierwsza kobieta ogarnęła całokształt zjawisk ekonomicznych jednolitym niepozbawionym oryginalności systemem...

Kraków dotąd o tem nie chce wiedzieć... U nas kobieta, chcąc uzyskać uznanie, musi conajmniej produkować swe zdolności w balecie, albo publicznie obcałowywać ręce rozmaitych „ojców". Pani Daszyńskiej się boją. Towarzyszy jej cień Ignacego, brata zmarłego jej męża, towarzyszy cały stek strachu, zabobonów, uprzedzeń mandarynów. „Nauka wysusza serce"...

Szkoda, że nie widzieli — nie warci tego — jak przed sześciu laty ta oschła kosmopolitka po przyjeździe z Berlina znalazła się w „Muzeum". W Berlinie Niemcy umieli ją cenić. Dali profesurę w jednej z najpoważniejszych instytucyj prywatnych, Adolf Wagner staczał z nią zawzięte boje polemiczne — jak równy z równym, Sudermann poraz pierwszy widział harmonię kobiecości i człowieczeństwa w postaci „der edlen Polin". A ona, syta uznania, dostatku, towarzystwa duchów wyborowych i przodujących — znalazłszy się poraz pierwszy przed obliczem Matejki, Grottgera, Siemiradzkiego, wobec pamiątek pogrzebu Mickiewicza i innych pamiątek — wybuchła łzami...

I została w Krakowie.

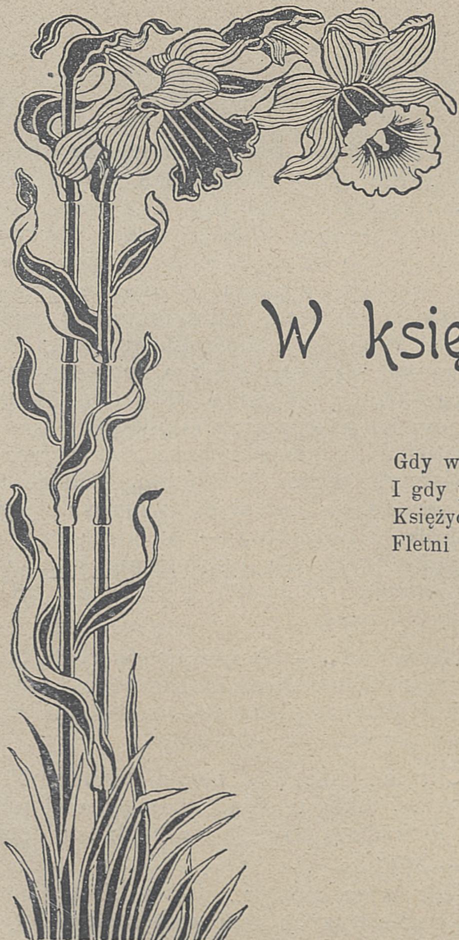
Jedna z najpracowitszych osóbek — kto zliczy, ile rozpraw, artykułów, korespondencyj, tłómaczeń wychodzi z pod pióra pani *zd. Z. S, D.*, Zofii Golińskiej i dra Z. Daszyńskiej! — przykłada ręki do każdego dzieła emancypacyi kobiecej i demokratyzacyi wiedzy. Przamawia między szwaczkami i sługami, przemawia do pań dzielnej naszej „Czytelni dla kobiet", przemawia do setek słuchaczy z katedry Uniwersytetu ludowego. I gdy tak stoi przy swym stoliku profesorskim szczupła, o jasnej twarzy i spokojnych, mądrych oczach, prosta a pełna skromnej elegancyi — dotąd warszawianka w każdym calu — i dźwięcznym, spokojnym głosem rozwija idee, cyfry i jeszcze raz idee, wznoszące słuchacza z najprozaiczniejszych spraw, bo ekonomicznych, do regionów wyższych, coraz wyższych, nareszcie do sfer ogólnoludzkiego dobra, piękna, szczęścia, wrażenie pozostaje niezatarte. Przekonywa, ale i suggeruje, uczy, ale i podbija.

Taksamo w saloniku, gdzie nauka ustępuje miejsca sztuce, estetyce. Gospodyni — w każdym calu warszawianka. Nie, coś więcej... Niedawno zajęła się, jedna z pierwszych u nas, Nietzschem, traktując go przeważnie, jako artystę. Po czasopismach zaś są rozrzucone, pewne fejletony... kartki z duszy kobiecej... gdzie subtelna psychologia i polot uczucia...

Pardon, zapytać tylko chciałem: czy szan. doktorka nauk społecznych nie ma przypadkiem w swej tece jakiejś powieści lub dramatu?



KAZIMIERZ BIELAŃSKI.



W księżycowy wieczór.

Gdy wieczór wokół wonną rozprzestrzeni ciszę
I gdy przez uroczyste, ciemne drzew arkady,
Księżyca srebrnych blasków płyną wodospady —
Fletni śpiew z dali rzewny, cichy, tęskny słyszę.

Śpiew ten mię czarem tonów pieści i kołysze:
W pląsach mgieł lotnych jawią się dziewic gromady,
We snach widziane niegdyś, prowadzą narady
Nad przeznaczeniem dziwnem, które los mi pisze...

Niezbadanych tajemnic słucham zalękniony.
Jedna z nimf-opiekunek błaga za mną, prosi,
Odwrócić chce odemnie złych przeznaczeń dolę. —

W powietrznej, srebrnej fali grają ciche tony,
Z łąk kadzielnicy wokrąg woń się biała wznosi — —
Kroczę zapatrzon w złote księżyca półkole.



Bertold Menkes.

Z literatury krytycznej.

(Cezary Jellenta o Dantem; Marya Konopnicka o Mickiewiczu)

(Dokończenie).

II.

Różnica jaka zachodzi między twórczością Danta i Mickiewicza da się w najogólniejszych zarysach tak wyrazić: Twórczość Danta jest par excellence decentracyjna, Mickiewicza koncentracyjna Dante, to geniusz, co — wedle — Byrona — „do nieba wzbijał się nadludzkiem męstwem", to człowiek, co „myślał światami", człowiek, co mówił: „Ja, dla którego ojczyzną świat — jak dla ryb ocean".

Przeciwnie Mickiewicz. Doń zastosować się daje zdanie amerykanina Walta Whitmana: „Jestem wierzchołkiem rzeczy przebytych, a mieszczą w sobie ogrom rzeczy przeszłych". Mickiewicz — to streszczenie, synteza, koncentracya niejako kultury narodowej, jej bolów i radości, jej zalet i słabości.

Dlatego też zupełnie inną drogą przystąpić doń trzeba, aby go zrozumieć. Tu nie wystarczy allegorya jego twórczości, apoteoza jego geniusza, tu trzeba po pierwsze wielkiego nakładu uczuć wielkiej miłości, a po wtóre trzeba wykazać, jak to na nim sprawdza się zdanie Vauvenarguesa: „Wielkie dusze znajdują w sobie samych wielką część rzeczy zewnętrznych". Chodzi więc o wniknięcie w misterya ducha twórczego i w y c z u c i e miejsca, gdzie stoi ołtarz, na którym modły odprawia Geniusz.

Dotychczas jednak było inaczej. Do zadania tego nie zabierali się ludzie z ustrojem odpowiednio wrażliwym, nie artyści, jeno przeważnie erudyci, którzy zamiast „mieć serce i patrzyć w serce", wzrokiem swym wodzili jedynie po słowach poety, lub brali w rachubę jedynie fakty z jego życia

Jako stanowczy rozbrat z tą zwyż opisaną krytyką literacką, przedstawia się książka Maryi Konopnickiej o „życiu i duchu" Mickiewicza — poetki, której zadaniem było nie wyciosanie i zarzucenie osoby poety szeregiem cech, przymiotów i właściwości, ale podążenie za duchem jego twórczym w sferę, gdzie „zespoliwszy się z narodem na śmierć i życie rozbłysnął nam, ogarnął nas sobą i cały się nam oddał",

gdzie „granicą Stwórca i natura",
gdzie pieśń, to „siła dzielność"
gdzie „pieśń — jest śmiertelność"!

* * *

Duch ludzki tyle wyrobić w sobie potrafi tężyzny, iż na przełaj ciału żyć i ujawiać się może. Przenosi się w odrębną mu istotę i kieruje jej ciałem; częstokroć spostrzegano, że mąż i żona, żyjąc w duchowej wspólności, hypnotyzują się nawzajem tak dalece, że nabierają odnośnie do swej organizacyi duchowej cechy podobieństwa. Taksamo przystosowywać i upodabiać się mogą najrozmaitsze przedmioty w naturze, taksamo dwa twórcze umysły: jeden z nich wywiera na drugi tak dominujące działanie, iż zniewala go do przyjęcia tegosamego tonu, tegosamego „patos", co pierwszy.

Nie znaczy to bynajmniej, iż drugi zatraca w tym akcie asymilacyjnym swą samodzielność: myśli jego i uczucia pozostają nadal bezpośrednimi wypływami własnej duszy — tło jeno, na którem piętrzy się gmach twórczości, przypomina najcharakterystyczne momenta i cechy geniusza, który tak silny wpływ wywarł.

Taki stosunek znajduję między Maryą Konopnicką a duchem Mickiewicza. Po działał on tak silnie swą miłością do ludu, „stał się wyrazem tak silnym i tak doskonałym zbiorowych uczuć tego ludu", a podczas gdy „inni tworzyli kwiaty piękna, on tworzył glebę ducha, z której wszelki kwiat i wszelki kłos życia rośnie", — taką więc potęgę w tym kierunku rozwinął, iż stał się wszechobecnem tłem, na którem Konopnicka mu swe wyśpiewała hymny.

Konopnicka zaczyna od zaznaczenia stanowiska Mickiewicza jako wieszcza narodowego. Temsamem kończy. A jako na żytnisku wśród toczącej się fali płynnego złota wzrok nasz przesuwa się jedynie po wykwitających tu i ówdzie kwieciach niebieskich bławatów i krwistych maków — tak i wzrok jej utkwił i kroczył za t y m i przejawami twórczości Mickiewicza, które go uczyniły „naczyniem pełnem n a r o d o w e g o d u c h a", które go zespoliły z żywotem narodu na śmierć i życie!—Bo:

„... Kiedy nam Mickiewicz powiada, że „w narodzie naszym jest wielkie, powszechne uczucie szlachetności, poczciwości i szczerości", czujemy, że pod stopami przybywa nam gruntu, na którym budować warto...

... Kiedy nam powiada, że „cały rachunek z przyszłością na własnych siłach oprzeć trzeba", pragniemy siły te wyrabiać w sobie..

... Kiedy nam mówi: „Życie nie jest to sztuka lub rzemiosło, o którem starzy tylko i doświadczeni radzić mogą, tu im kto lepszy, tem mędrszy" — czujemy jak świeże, ożywcze strumienie z czystych wyżyn ducha lecą, by wzmódz i ruszyć stojące wody życia...

... Kiedy nam powiada, że „Społeczeństwa zagrzebują się, pleśnieją w sta-



Wnętrze katedry św. Jana w Warszawie.

rych afirmacyach, w interesach przeszłości, a odradzają się zadaniami i pragnieniami utkwionemi w jutrze“, otrząść się chcemy z pleśni zmierzchów i popiołów, a biedz ku zorzom pogodnym, ku rosom ożywczym przyszłości...

...Kiedy nam wreszcie mówi: „Jedyny cel człowieka i narodów jest żyć tak, aby tym, co po nas przyjdą, było lepiej“ — widzimy przed sobą jakąś ogromną i słoneczną drogę, na której samej tylko jest życie i szczęście“.

Mickiewicz stoi więc na wyżynie „gdzie poeta od czasów Izraela nie bywał i drogę stracił, a jeden Dante ją czasem omackiem tu i ówdzie znachodził“.

„Tem żyjemy“, kończy Konopnicka, „Czemże innem żyć byśmy mogli?“

Widzimy więc, że otrząsnąwszy z wywodów Konopnickiej to, co literackiem, co formalnem i uplanowanem, dochodzimy do tła, do *„Leitmotivu“*, w którem rozbrzmiewa nuta słów mickiewiczowskich; że zogniskowawszy uczucia Konopnickiej, doznawane przez nią podczas wnikania i uzewnętrzniania przedmiotu swej twórczości, dochodzimy do jednego punktu. A punkt ten, owo współdziałanie z duchem Mickiewicza w kierunku patryotycznym jest, już powiedziałem, tłem całego dzieła.

A samo malowidło? A kontury rysujące się na obrazie? A tak zwany „styl subjektywny?“

Książce Konopnickiej ta okoliczność nadaje najwyższą wartość, iż najmniejszego nie ma rozdźwięku między tłem a tym „stylem subjektywnym“. Jak często zdarza się, iż na wspaniałem tle (zaznaczam raz jeszcze, iż w tym wypadku pod „tłem“ rozumię uświadomienie sobie działania ducha twórczego — tu Mickiewicza — na umysł krytyczny) anemiczne ujawiają się pokraki! U Konopnickiej zaś w przecudowną harmonię spływają nastroje, rytm wewnętrzny, żywość i przeniknięcie tajemnic twórczości. A przytem jak wspaniale umie się z czytelnikiem porozumieć! Tyle miłości, tyle ciepła wczarowuje w słowa, iż bezpośrednio, bez zastrzeżeń oddaje jej się umysł czytelnika, iż lubością nasiąka czarem jej słów, głoszących mu dzieje tego, co spiewał:

„...gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów“...

Całe szeregi krytyków i biografów zajmowały się osobą Mickiewicza, a niemal wszyscy mrozili swą chmurną, poważną postawą, niemal wszyscy pisali nie dla przeciętnych czytelników, ale dla znawców. Mickiewicza traktowali gdyby martwy, acz wspaniały przedmiot naukowo-literackich badań. Dlatego tem silniej oddziaływa owo tchnienie miłosne, ów szept kobiety, rozkochanej w przedmiocie swego uwielbienia, jaki przedostaje się ze słów Konopnickiej, a tak kojącym, tak rozmarzającym nastrojem otula duszę czytelnika. Do niej zastosowaćby się dały słowa Adama:

„Ja mam je, mam je... mam tych skrzydeł [dwoje!
Wystarczą! Od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość [uderzę,
I dojdę po promieniach uczucia do Ciebie!“



Najnowsze odkrycia na Forum Romanum.

Z odczytu prof. Władysława Abrahama.

Kto zwiedzał Forum przed dwoma laty, ten dziś nie umiałby się tam znaleść: gdzie dawniej możnaby było chodzić wygodnie, tam obecnie doły i rowy, mnóstwo nowo wydobytych złomów marmurowych lub kolumn leży tam i odsłoniły się plany nieznanych dotąd budowli, a cały rozmiar placu znacznie się rozszerzył. Wszędzie ruch niezwykły, grupy robotników zajęte rozkopywaniem i rozbieraniem gruzów, taczki i wózki wywożą wydobytą ziemię, a czerwone okładki „Baedekerów“ zjawiają się tu i owdzie nieśmiało, nie umiejąc sobie jeszcze zdać sprawy z wyników tej pracy.

Właśnie przed dwoma laty w listopadzie roku 1898 postanowił rząd włoski podjąć na nowo poszukiwania naukowe na Forum, przerwane niemal zupełnie w r. 1884. Pewne próby późniejsze kilku uczonych niemieckich przyniosły wprawdzie niejedno nowe odkrycie, ale zarazem stwierdziły, że znany dotąd teren Forum przedstawiał je tak, jak ono wyglądało w końcu istnienia cesarstwa rzymskiego, a że dopiero przed niem znajduje się Forum dawniejsze, czy to ze świetnych czasów Augusta i jego następców, czy nawet z czasów rzeczypospolitej, po której zbyt mało pozostało pamiątek. Więc obecnie postanowiono przedsięwziąć badania dalsze, pójść w głąb poniżej dotychczasowego planu i równocześnie zacząć poszukiwania tam, gdzie ich dotychczas zupełnie prawie nie robiono, to jest po stronie północnej i południowej Forum.

Lecz obie strony zajmowały nowoczesne budowle; po stronie północnej stał kompleks domów, a na południowej kościół S. Maria Liberatrice. I domy i kościół zostały zburzone, ale ta ofiara nie była daremną. Kierownictwo poszukiwań objął energiczny inżynier Boni.

Przez pierwszych kilkanaście miesięcy pracowano głównie po stronie północnej, a dzienniki i pisma naukowe przynosiły niemal co miesiąc sensacyjne wiadomości o nowych zdobyczach. Interes powszechny dla poszukiwań wzrastał — i to nietylko wśród świata nauki, lecz i wśród wykształconego ogółu; wszak chodziło o miejsce pamiętne, gdzie się rozgrywały wielkie dziejowe sprawy i wielkie wypadki, co urabiały podstawy nasze duchowego życia i naszej cywilizacyi, tak jak Rzym był najbliższą jej kolebką, — wszak te kamienie i ruiny tyle zawsze mówiły i tyle zawsze nasuwały refleksyi i wspomnień wspaniałych.

Dość szybko udało się dotrzeć do dawnego terenu Forum rzeczypospolitej i początkowych czasów cesarstwa. Odkryto fundamenty różnych budowli, dawne wejście z czasów Dyoklecyana do Curia Julia (dziś kościół S. Adriano) gmachu posiedzeń senatu, odsłonięto prawie w zupełności części ścian, kolumn i podłogę, pochodzącej z czasów rzeczypospolitej bazyliki Fulvia Aemilia, nie ustępującej wspaniałością znanej bazylice Juliusza Cezara, która dotąd zdumiewała swymi rozmiarami zwiedzających Forum.

Obie te, po przeciwległych stronach Forum stojące bazyliki, były budynkami przeznaczonymi na hale targowe i sądy; dopiero później przeszła ta nazwa na świątynie chrześciańskie. Bazylikę Fulvia Aemilia zniszczył ostatecznie pożar i dziś jeszcze na przepysznej posadzce marmurowej pozostały pokrzepłe krople stopionego bronzu i żelaza z wiązań dachowych.

Później, — w czasach panowania Bizancyum w Rzymie, wbudowano w część bazyliki, po stronie sąsiedniej świątyni Antonina i Faustyny, pałac prywatny, którego dzisiejsze szczątki świadczą o świetności dawnego urządzenia.

Również znajdujące się w pobliżu, dawniej znane ruiny świątyni Juliusza Cezara i Regii, którą zajmował Pontifex maximus, zostały lepiej odsłonięte i z gruzów oczyszczone. Ale wśród tych odkryć największej zajęcia w świecie naukowym obudziło znalezienie niedaleko łuku Septyma Sewera, wśród bruku, wielkich płyt z czarnego marmuru, a pod niemi części kolumny z zagadkowym napisem. Powszechna niemal panuje zgoda, że owe czarne płyty położono w początku IV wieku po Chrystusie za cesarza Maksencyusza dla oznaczenia miejsca, gdzie, wedle tradycyi, miał się znajdować grób założyciela państwa i miasta, Romulusa. Ale zagadkowy ów napis jest ciągle przedmiotem żywej dyskusyi naukowej. Nie dochował się w całości, lecz w małym stosunkowo ułamku, a pismo jego archaiczne (bustrofedon) wskazuje, że jest to najdawniejszy znany piśmienny zabytek Rzymu. W oznaczeniu czasu, z jakiego pochodzi, różne są zdania. Jedni odnoszą go nawet do czasów królewskich, inni do czasów rzeczypospolitej około roku 500 przed Chrystusem, bezwątpienia zaś istniał on już przed pożarem Rzymu podczas na-

padu Gallów. Treść napisu stanowią przepisy sakralne, odnoszące się do czynności, jakie sprawował *Rex sacrorum*, ów kapłan, do którego po wypędzeniu królów należało pełnienie tych świętych obrzędów, które dawniej sprawowali królowie.

Poszukiwania ostatnich kilku miesięcy przyniosły znowu plon nadspodziewany. Po zburzeniu kościoła S. Maria Liberatrice i zniesieniu przejścia, prowadzącego z Kapitolu do łuku Tytusa, zboczem Palatynu, zaczęto odsłaniać mury, łączące Forum z Palatynem, tam, gdzie pałace Caliguli schodzą w dół, a równocześnie posuwano się w tę samą stronę od miejsca, gdzie stoją substrykcye świątyni Westy. I natrafiono na dwa niezmiernie zajmujące pomniki, należące do dwóch różnych światów, które się złożyły na Rzym dzisiejszy.

Stara opowieść rzymska donosi, że w początkach rzeczypospolitej, kiedy mały Rzym staczać musiał częste z sąsiadami walki, nieraz tylko dzięki czynnej pomocy bogów wychodził zwycięsko.

A było tak samo i w bitwie na jeziorem Regillus 496 roku przed Chr., gdy los zdawał się przechylać na stronę wrogów z Tusculum; wówczas dwaj niebiańscy młodzieńcy Kastor i Pollux zjawili się w szeregach rzymskich, poprowadzili je do zwycięstwa i o niem pierwsi donieśli mieszkańcom Rzymu.

Stanęli na Forum na spienionych rumakach, napoili je i obmyli w świętem źródle u stóp Palatynu. Przez wdzięczność i na pamiątkę zdarzenia zbudowano im świątynię, z której trzy kolumny do dziś pozostały, świątynia zaś stanęła zgodnie z tradycyą tuż obok świętego źródła. Było ono poświęcone nimfie Juturnie, dobremu bóstwu latyńskiemu, opiekunce źródeł wspólnie z bogiem Fontusem. Stara mitologia Rzymu, jeszcze przed wpływami greckimi, daje jej za męża Janusa, a poezya wiąże imię nimfy z mitycznemi początkami państwa, dorabiając jej inną genealogią.

W ślicznym ustępie końcowym Eneidy, opisującym pojedynek Eneasza z królem Rutulów, Turnusem, pojawia się właśnie Juturna jako siostra Turnusa, lecz już dzięki Jowiszowi, bogini, gdy pełna tkliwej miłości siostrzanej, stara się w porozumieniu z Junoną, uchronić brata przed śmiercią, chociaż nadaremnie

W dawniejszych poszukiwaniach na Forum naprózno szukano świętego źródła, fontanny Juturny, pomimo, że o niej często autorowie rzymscy wspominają, i że ze starych monet jej obraz był znany. Spodziewano się wedle wskazówek literackich znaleść ją przed główną fasadą świątyni Dioskurów, tymczasem dopiero obecne poszukiwania natrafiły na jej ślady, ale gdzieindziej, bo pomiędzy tą świątynią a mieszkaniami Westalek. Fontanna Juturny dochowała się stosunkowo dość dobrze. Głęboki, niezbyt jednak wielki basen, wyłożony jest cały białym marmurem, a w środku na wzniesieniu stoi również marmurowy ołtarz, ładnie rzeźbiony, z wyobrażeniem Jowisza, Dyany, Dioskurów i Juturny. W zabudowaniu obok znaleziono niezły biust Jowisza, bardzo ładny tors Aoollina i posąg Eskulapa, nadto części posągów konnych, należących zapewne do postaci Dioskurów.

Z drugiej strony basenu wprost ku Palatynowi znajduje się drugi ołtarz z rzeźbą, wyobrażającą postać męską w zbroi i drugą kobiecą, może Juturnę



NAD JEZIOREM.

z Turnusem, a poza ołtarzem kryje się studnia, zapewne właściwe źródło, z marmurowem ocembrowaniem, napis zaś objaśnia, że edyl z koncowych czasów republiki, Marcus Barbatus Pollio, poświęcił Juturnie ów puteal. Cokolwiek dalej stała mała świątyńka aedicula Juturny, lecz dochowało się z niej już tylko ceglane podmurowanie, kolumienki i fryz z napisem „Juturnae". Przez swe wspomnienia i pozostałe szczątki to święte miejsce pogańskiego Rzymu jest pełne uroku i zwiedzającym pozostanie długo w pamięci, — jako najmilszy zakątek — dzisiejszego Forum.

Tuż poza sanctuarium nimfy, dokąd w święto Juturnaliów ciągnęły wesołe korowody, tuż poza jej źródłem, skąd czerpano wodę cudowną do obrzędów świętych, lub dla uzdrowienia chorych, roztacza się znowu i świat i obraz inny. Wchodzimy w czasy starochrześcijańskie, w wiek VII i VIII, w jedną ze starych pierwotnych chrześcijańskich bazylik Rzymu, która spoczywała pod ziemią długie wieki. Dawne z wieku VII spisy kościołów rzymskich wspominają o starej bardzo świątyni, poświęconej czci Matki Boskiej, zwanej już wtedy „starą", S. Maria antiqua. Sądzono dotąd, że był nią dzisiejszy kościół S. Franceska Romana obok bazyliki Konstantyna, dziś jednak nie podlega żadnej wątpliwości, że ten nowo odkryty kościół jest właśnie tym dawnym nieznanym. Obok źródła Juturny, związanego legendą z początkowemi dziejami miasta, niedaleko świętego ognia Westy, wtedy, kiedy on jeszcze płonął, stanął w samym środku życia pogańskiej stolicy skromny kościółek, poświęcony imieniu Maryi. Nowa zwycięska religia wtargnęła na Forum w miejsce najświętszych przybytków dawnego kultu, a świątynia Matki Chrystusa stanęła naprzeciw świątyni Westy i innych bóstw opiekuńczych cesarskiego miasta.

Jakie były losy pierwotnego kościółka w wieku IV w czasie chwilowych reakcyj pogańskich, niewiadomo, ale rychło potem powstał tam kościół obszerny, dotykający szczytem pałacu Cezarów. Dziś widzimy go takim, jakim był w wieku VIII, lecz bez wewnętrznego urządzenia. Idąc do źródła Juturny w stronę Palatynu, spotyka się naprzód na lewo małą kaplicę, może ten pierwotny kościół Panny Maryi, zdobny freskami VII wieku, przedstawiającymi chrzest i różnych świętych. Posadzka dawna marmurowa dochowała się zupełnie dobrze, a w rogu stoi marmurowy sarkofag, napis zaś tam znaleziony opowiada o śmierci kapłana Amancyusza z VI wieku. Kapliczka owa przytyka do atrium (dziedzińca) głównej świątyni. U progu leży złocony kapitel koryncki kolumny, w atrium kilka kolumn stoi jeszcze na dawnem miejscu, a całe ściany zapełniono malowidłami i napisami. W ścianach wszędzie groby, loculi, jak w katakumbach, pod posadzką również sarkofagi, przypominające rzeźbą dawniejszą klasyczną sztukę, lubo o motywach i formach późniejszych, z prostą, a jednak tak wymowną symboliką katakumb.

Z atrium wchodzi się do właściwego przestronnego i wysokiego kościoła o trzech nawach. Pozostały jeszcze częścią murowane szranki chóru, a wszystkie ściany pokryte również malowidłami, przedstawiających świętych i sceny z Pisma św. Nawet kolumny nie przemawiały wówczas smukłością i harmonią linii, lecz że także otynkowano i freskami pokryto. Styl malowideł bizantyński, chociaż i tu i owdzie da się spotkać fresk może wcześniejszy, jak w atrium scenę Zwiastowania, a w absydzie nawy głównej na lewo postacie Świętych i Apostołów. Gdzieniegdzie znowu łatwo zauważyć dwie warstwy fresków, gdyż z pod warstwy dzisiejszej w miejscach, gdzie tynk opadł, przegląda warstwa znacznie wcześniejsza. Absyda nie ma mozaiki, lecz również jest malowana. Chrystus siedzi na tronie, otoczony Świętymi, a wśród nich stoi współczesny freskom, Papież Paweł I (767—768), z czworograniastą błękitną aureolą, a u spodu zaś, na białem tle, biegnie czarny, wielki napis, poświadczający, że ta świątynia czci Matki Bożej jest poświęcona. Najlepiej do-

chowały się malowidła w lewej nawie od miejsca. U góry ściany tylnej przedstawiony jest Chrystus na krzyżu w archaicznym, współczesnym stylu, a poniżej scena, jak Papież Zacharyasz (741—752) przyjmuje fundacyę kościoła jakiegoś z rąk mnicha Deodata. I w atrium również znajduje się wizerunek Papieża, lecz napisu obok odczytać niepodobna.

Nowy szczegół do dziejów Kościoła przyniosło znalezienie u wejścia do chóru marmurowej podstawy pulpitu kazalnicy z napisem Jana VII. (705—707). Ów Papież, Grek rodem, był synem Platona, zarządcy pałaców cesarskich na Palatynie i o nim opowiadają najdawniejsze dzieje papieskie (Liber pontificalis), że on właśnie kościół S. Maria antiqua zdobił malowidłami i że przy nim zaczął budować pałac papieski.

Tu więc przez pewien czas rezydowali Papieże, przeniósłszy się z Lateranu, a w pobliskim pałacu Westalek, które go jeszcze w r. 391 opuścić musiały, mieszkali urzędnicy dworu papieskiego. Znaleziono tam bowiem już dawniej w roku 1883 skarb, złożony z przeszło 800 monet anglosaskich z IX. i X. wieku, Alfreda W., Edwarda I., Etelstana, a domyślano się słusznie, że pochodził on może ze świętopietrza, przywiezionego z Angli do Rzymu.

Można dziś skarb ten oglądać wraz z drugim, złożonym z kilkuset złotych monet ostatnich cesarzów rzymskich, który również w domu Westalek był ukryty, w nowem muzeum w termach Dyoklecyana tam, gdzie stoją przepyszne bronzy i marmurowe posągi z willi Nerona w Subiaco.

Odkrycie obecne tej bazyliki, o ile dla topografii ówczesnego Rzymu, dla archeologii chrześciańskiej i historyi Papieży jest wagi pierwszorzędnej, wypełnia zarazem wielką lukę, jaka w dziejach sztuki starochrześciańskiej w pomnikach dawnego Rzymu istniała. Oprócz malowideł w katakumbach i szeregu nielicznych mozaik w różnych kościołach rzymskich, jedynie tylko bardzo zniszczone i fragmentaryczne freski w dolnym kościele św. Klemensa, pochodzące z wieku IX. do XI., albo freski z ustronnego kościółka św. Urbana, w kampanii przy via Latina również z XI. wieku, mogły dawać pewne wyobrażenie o dziejach malarstwa ściennego w Rzymie w tych dawnych czasach; obecnie freski St. Maria antiqua dozwalają poznać pełniejsze ogniwa rozwoju tej sztuki, która wzrastała na zrębach upadłej przerafinowanej cywilizacyi starego Rzymu, w czasie, kiedy się przygotowywało powstanie nowego zachodniego Cesarstwa Rzymskiego i kiedy się utwierdzały podwaliny przyszłej wielkiej roli politycznej Papieży.

Co przyniosą dalsze wykopaliska, niewiadomo. Prace na forum postępują szybko dalej, a równocześnie rząd zakupił wilię Mills i grunty prywatne na Palatynie, aby tam także rozpocząć poszukiwania. Może się również i tam znajdzie jeszcze niejeden cenny pomnik historyczny i niejeden posąg biały, olśniewający czarem nieśmiertelnego piękna. Żal tylko trochę dzisiejszej malowniczości Palatynu. Czy kilof badacza oszczędzi te ciemne i smukłe cyprysy, co wieńczą cesarskie wzgórze, panujące tak długo światu? Albo tę palmę samotną i smętną, która skąpana żarem zachodzącego słońca lub bladem światłem księżyca oblana, wstrzymuje kroki przechodnia, zdążającego ku łukowi Konstantyna. Bo chciałoby się podumać z nią razem nad tajemnicami tej świętej ziemi, gdzie pod gruzami wieków śnią świadki wielkich dramatów życia i tragedyi dziejów, wielkich wysiłków w myśli i ducha...

Pogadanka naukowa.

Elektryczność zwierzęca.

(Dokończenie).

Oprócz strumieni w mięśniach, Dubois-Raymond wykrył prąd elektryczny w nerwach, o czem do tego czasu miano bardzo niepewne wyobrażenie, wykazał że każda część nerwu, wprowadzona w zetknięcie z uciętym jego końcem, zupełnie tak jak w mięśniach, tworzy łańcuch galwaniczny, w którym strumień elektryczny nieustannie krąży.

Ponieważ nerwy, jako delikatne niteczki idą do wszystkich mięśni, możnaby więc sądzić, że są one właściwym aparatem elektrycznym w ciele ludzkiem i u zwierząt. Lecz doświadczenie wykazało, że prąd galwaniczny w nerwach jest sześć razy słabszy, aniżeli w mięśniach i w ogóle jest słabszym niż w jakiejkolwiek innej tkance.

Nerwy wyczerpują się czyli słabną w kierunku ich przewodzenia, to jest nerwy czucia wyczerpują się w kierunku od powierzchni ciała do mózgu, a nerwy ruchu od mózgu do powierzchni ciała.

Jeżeli przez małą część nerwu długiego przypuścimy strumień elektryczny, to nerw ten w całej swej długości nabiera elektrycznego stanu. Strumień ten jest zupełnie niezależny od zwykłego, zawsze w nerwach czynnego i wzmacnia lub osłabia ten ostatni podług tego, czy ma z nim wspólny czy przeciwny kierunek. To dowodzi, że elektryzując jakiś nerw niema potrzeby przykładać biegunów bateryi elektrycznej do krańcowych jego punktów, lecz dość wziąć jakąkolwiek część jego. Jest to odkrycie bardzo ważne i przy leczeniu elektrycznością, z czasem, gdy badania w tym kierunku zrobią postęp należyty, będzie mogło odegrać niezmiernie wielką rolę.

Skąd pochodzą te prądy elektryczne w organizmach ożywionych? — Wszystko co istnieje na świecie znajduje się w ciągłym ruchu dla zmiany miejsca lub kształtu, a przyczyną ruchu tego jest działanie słońca na ziemię, gdzie wywołuje prądy elektro-magnetyczne, które następnie są źródłem elektryczności w powietrzu i magnetyzmu ziemnego, a także stają się przyczyną światła i ciepła. Główną jednak zasadniczą formą energii, podtrzymującą ruch na całej ziemi nie jest ciepło, ale prądy elekro-magnetyczne, gdyż one towarzyszą wszelkim zmianom i procesom fizycznym i chemicznym.

Jaką olbrzymią potęgą są te prądy, przebiegające ziemię i wszystkie znajdujące się na niej twory, świadczy ciepło wytwarzające się wszędzie, gdzie istnieją prądy elektryczne i potęga ziemnego magnetyzmu.

W jaki sposób ta lub inna czynność objawia się w głębi tkanek i komórek każdego organizmu nie wiemy, możemy jednak domyślać się, że pochodzą ze zmian i ruchów tam się odbywających.

Każde żywe ciało przedstawia masę gąbczastą, masyconą rozczynami soli mineralnych i składników organicznych różnych odczynów: neutralnego, zasadowego i kwaśnego. Mnóstwo różnorodnych przegródek, istniejących w masie ciała wytwarza wielką różnicę w przenikaniu na wszystkie strony płynnych i nawpółpłynnych komórek. Tu więc odbywa się ruch, w czasie którego następuje nie tylko przemiana materyi, ale i przemiana sił. Największe znaczenie odgrywać musi rozkład elektrolitycznych różnych soli mineralnych, znajdujących się we wszystkich cieczach ciała naszego i ciał białkowatych. Rozmaite narządy ciała stawiają niejednostajny opór prądom elektrycznym, a komórki ciała odgrywają rolę akumulatorów. Komórki, w normalnych warunkach zatrzymują krótkotrwałe i słabe podrażnienia zewnętrzne i wewnętrzne i dla tego do mózgu naszego nie dochodzą wrażenia odbywających się u nas procesów. Jeżeli jednak podrażnienia te przejdą pewną granicę, to odczuwamy ogólny rozstrój lub ból.

Złym przewodnikiem ciepła i elektryczności jest tłuszcz, dla tego też posiada znaczenie izolatora względem tych narządów, które pokrywa. Ciała białkowate lepiej przepuszczają ciepło i elektryczność, niźli tłuszcze. Kombinacya jednych z drugimi wyrównywa różnicę tę, wytwarzając pewien średni stan dynamiczny, najwięcej sprzyjający objawom życiowym.

Z różnorodności składu i budowy ciała wytwarzają się różnice potencyałów energii miejscowej dla wytwarzania prądów galwanicznych. W stanie pokoju prądy te są zamknięte i nie objawiają się na zewnątrz, bez podrażnienie i naruszenie całości danego narządu powoduje otwarcie łańcucha i dla tego okazuje się możliwem odprowadzenie prądu zapomocą zastosowanych od zewnątrz przewodników.

Do liczby procesów elektrolitycznych, odbywających się w ustroju zwierzęcym i w roślinach należą procesy tworzenia się tłuszczów i węglowodanów a także powstawanie różnorodnych białkowatych ciał.

Każdy więc organizm jest baterya mnogich elementów, które posiadają osłonę źle prowadzącą elektryczność, a źródowiskiem przejawiania się tej ostatniej, jest płyn, zawierający różne sole i przesiąkający całe ciało.

b.—m.

Na żart!

Stanio (do Leonii): Sama nie wiesz, co mówisz.

Z „Życia na żart“ pani Zapolskiej.

O najnowszej „sztuce“ pani Zapolskiej właściwie nie powinienem zdawać sprawy. Fabrykat ten sceniczny nie wart wcale zastanawiania się nad nim, żadnej bowiem nie przedstawia wartości czy to pod względem literackim, czy ściśle dramatycznym, czy wreszcie społecznym. Tego można było się jednak spodziewać. Po napisaniu „Tamtego“ twórczość pani Zapolskiej stanowczo a szybko poczęła chylić się ku upadkowi. Dziś to ruina..., a „Życie na żart“ jest sztuką, wytworzoną rozpaczliwym wysiłkiem wzmagającej się niemocy. Świadczy o tem choćby ta okoliczność, że w sztuce tej nie ma ani jednej, ani odrobiny oryginalnej, przedtem już nie napotykanej sytuacyi lub myśli. *Cherchez Zapolska, et vous trouverez Sudermann, Zola, V. Łoś, Bałucki, Przybylski etc. etc.*

Bo czego nie ma w tych pięciu długich, niemożliwie długich i rozpaczliwie nudnych aktach! Na scenie co najmniej trzydzieści widzisz osób, prowadzą cię na ślizgawkę i każą podziwiać jak cały personal artystyczny i wybrańcy chórów produkują się w kunszcie ślizgania się, prowadzą do salonów na bale, pokazują tańce „secesyonistyczne“, gawoty, tłumaczą na przykładzie manipulacyę przy pojedynku amerykańskim i t. d. i t. d.

A to wszystko ma tyle wspólnego z prawdziwą sztuką, co pani Zapolska z Szekspirem.

Doprawdy, rumieniec wstydu twarz mi oblewał, kiedy się patrzeć musiałem, jak nasi tak inteligentni i subtelni artyści, pani Bednarzewska, Solska, Stanisławski, Kliszewski i inni (biedni oni...) zniżać się musieli do wykonywania pod przewodem baletmistrza pana Sachsa produkcyi choreograficznych, które panu Thornowi w Colosseum raz po raz pełne sale by przysparzały. Ten moment, to była profanacya sztuki czystej i prawdziwej w budynku, któremu przyświecać ma hasło: *sztuce narodowej.*

W Colosseum rzęsiste brawa zyskuje obecnie „artystka“ „la belle Lilli“; podczas jej produkcyi choreograficznych także jak w teatrze miejskim zaciemnia się scenę, także rzuca na nią snopy mieniącego się, w desenie ułożonego światła. Tylko że tam to uchodzi, a od wprowadzania tym podobnych kunsztyków do świątnicy sztuki — wara!

Pani Zapolska, jako umysł nietwórczy, ale zato — trzeba przyznać — wybornie obserwujący i reprodukujący swe obserwacye z fotograficzną ścisłością, pisała dawniej sztuki o podkładzie sentymentalno-patryotycznym. Ta tylko okoliczność trzymała je przez pewien czas na scenie. Bo w każdym z nas budzi się natychmiast oddźwięk, kiedy mu, choćby i najniezgrabniej, zagra się na nutę patryotyczną. Jeżeli np. w „Sybirze“ widzimy, jak Moskale znęcają się nad sędziwą polską matroną, jak ta spazmatycznym wybucha płaczem, to i nam się łzy do oczu cisną, nie krytykujemy wtedy sztuki, ale poddajemy się wrażeniu, a wyszedłszy z teatru mówimy: dobra sztuka. W „Życiu na żart“ ten podkład patryotyczny odpada, poznajemy też całą nicość, całą pustkę tego rodzaju dramatów. A jeżeli doszedłszy już do tego przekonania, musimy siedzieć pięć godzin w teatrze (od 7—12), i całych pięć godzin się nudzić, to doprawdy odechciewa się nam teatru i przyjemności, jakich on nam dostarczać zwykł.

To też nietylko żal można mieć do dyr. Pawlikowskiego, że w ogóle wpuścił na scenę taki wykwit sztukoróbstwa, ale wprost zaprotestować należy przeciw podobnemu traktowaniu teatru na żart. Jedynie możliwem wytłumaczeniem wystawienia i to tak wielkim nakładem kosztów „Życia na żart“ przez pana Pawlikowskiego, jest inspirowanie mu chęci zemsty na pani Zapolskiej. Bo w tym razie wspaniale zemścił się, wystawiając jej sztukę! Wystawił ją z królewskim przepychem, dał do dyspozycyi najwyborowszych artystów, zezwolił na urządzenie na scenie operetkowych, żywcem z teatrów Varieté przejętych widowisk — i sztuka mimo to, jak to jednogłośne niemal orzeczenie dzienników wykazuje — „klapła“.

Na naszej scenie wystawiono w ciągu bieżącego sezonu dwie już „krotochwilne sztuki“ z pod pióra dwóch redaktorów „Słowa“. Czy nie dałaby się w celu skompletowania trylogii na sposób grecki, inscenizować którąś z tragedyi pana Nawrockiego lub innego członka redakcyi?

* * *

Od samego otwarcia teatru nie zdarzyło mi się napisać krytyki potępiającej. O sztukach mniej ważnych nie pisałem wcale. Boć przecież rzeczą sprawozdawcy nie jest wykazywanie stron ujemnych, ale wyświetlanie i uprzystępnianie zrozumieniu ogółu stron dodatnich. Tym razem jednak uczyniłem wyjątek. Nicość samej sztuki stała w tak odwrotnym stosunku do reklamy jaką jej czyniono, iż tem bardziej jaskrawą wydała się mi sprzeczność, jaka zachodziła między nakładem kosztów i trudów, jakie na nią łożono, a jej wewnętrzną wartością. To też przemilczeć jej nie można było. Już z samego obowiązku publicystycznego należało ją potępić. A uczyniłem to w myśl zasady, zawartej w słowach Mickiewicza:

„.. Dzieło niszczenia
W dobrej sprawie jest święte,
jak dzieło stworzenia“.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

(Występ p. Ireny Bohuss w „Manon“ Masseneta).

Występ p. Ireny Bohuss zapełnił teatr po brzegi. Śpiewaczka ta ze słodkim srebrnym głosem, obdarzona już z natury jakimś wdziękiem nieokreślonym, była od dawna ulubienicą naszej publiczności. Stoi nam jeszcze w pamięci jej niezrównana kreacya w „Opowieściach Hoffmana“ Offenbacha, gdzie wzniosła się p. Bohuss na najwyższe szczyty artyzmu; ta nikła, blada suchotnica, skazana na śmierć przedwczesną w chwili, kiedy w duszy jej szaleje ogromna żywiołowa miłość, w interpretacyi p. Bohuss wyciskała nam łzy z oczu swoim przepotężnym bolem i rozpaczą. W „Manon“ Masseneta wystąpiły znowu wyraźnie wszystkie zalety tej artystki. A więc gra pełna miary artystycznej i obmyślana, ogromna słodycz w ustępach lirycznych, doprowadzona do misternej prawie subtelności w ledwie dosłyszalnych pianissimach, i ten ogromny, odczuty prawdziwie ból istoty ze złamanemi przedwcześnie skrzydłami.

Dlatego też najlepiej wypadł akt pierwszy i drugi jako przeważnie liryczne. W akcie trzecim życzylibyśmy sobie więcej siły i dramatyczczności, której brakło p. Bohuss, mimo widocznych wysiłków. Głos jej słaby, subtelny, chwilami nie wystarczał na pokrycie rozgranej orkiestry. Pomimo tych braków, całość robiła wrażenie czarujące i ogromnie sympatyczne. Oklaskom i kwiatom nie było końca.

P. Drzewiecki pokonawszy obronną ręką tremę, która go z początku gnębiła, rozśpiewał się w dalszych aktach i miał wiele szczęśliwych momentów. Muzykalny ten i inteligentny śpiewak, trochę zapoznany przez naszą krytykę, staje się bardzo pożyteczną siłą w naszej operze. W ansamblach i bajecznie trudnym kwartecie z trzeciego aktu najlepiej trzymał się p. Ludwig umiejąc podkreślać te miejsca, w których powinien się wybić na pierwszy plan. Orkiestra zapewnie wskutek znużenia grała tym razem bez wyrazu, mimo okrągłych i estetycznych ruchów pałeczki p. Spetriny.



Nowości literackie.

W ostatnich czasach półki księgarskie zapełniły się utworami poetyckimi wybitnej wartości.

Z pomiędzy wielu wymieniamy:

ślicznie wydany (na czerpanym papierze) poemat Gustawa Daniłowskiego „Na wyspie“, odznaczony na konkursie *Prawdy*;

zbiór poezyi Władysława Bukowińskiego (Selima) p. t. „Nowy zeszyt“;

zbiór „Liryk“ Fr. Mirandolli;

poezye Leopolda Staffa p. t. „Sny o potędze“;

wreszcie poezye wybrane p. t. „Fragmenta“ Antoniego Langego.

Oprócz Langego, znanego w literaturze nie od dzisiaj, należącego już do starszej generacyi poetów, wszyscy poprzedni są z „najmłodszych“. Z nich największy talent okazali dotąd Daniłowski i Staff, we wszystkich jednak wiele jest świeżości, miejscami — siły. Są między ich książkami takie, które — jak powiada Mirandolla — „pachną jak las na wiosnę; są jeszcze inne, co chrzęszczą i szumią, jak chorągiew pancerna, idąca w bój“.

Lange już zbudował sobie świat własny, „bardziej rzeczywisty niż rzeczywistość“, i tam „miłości, naturze i słowu postawił swój kościół jasny i promienny“, „ponad wszystką nienawiścią świata“. Wielka przestrzeń praktyki duchowej dzieli go od rzeszy poetów młodych, którzy „tonów próbują“, mówiąc do siebie: „Bądźmy jak las co szumi od każdego wiatru, bądźmy lasem osik drżących!“

Utworom poetyckim, wyżej wymienionym, należy się bliższa charakterystyka. Zaznaczając ukazanie się ich na świat, niepodobna niezauważyć rzeczy znamiennej dla naszych stosunków wydawniczych, że wszystkie one, z powodu dbałości wydawców o przyzwoitą formę zewnętrzną wyszły z pod prasy w Krakowie.

*

Nakładem „Biblioteki dzieł wyborowych“ ukazały się w doskonałym przekładzie Hajoty dwa tomy nowel hiszpańskich O. Ludwika Colomy p. t. „A pfe!“ i „Tumany i kałuże“. W zwięzłej i treściwej przedmowie wykazuje tłumaczka wszystkie zalety znakomitego powieściopisarza, który próbował zrazu zawodu marynarskiego, zapisał się potem jako adwokat do palestry hiszpańskiej, rzucał się w mętne wiry polityki, był jednym z lwów salonowych w Madrycie, a na zakończenie tego okresu uległ tajemniczemu, a dotychczas niewyjaśnionemu wypadkowi. Znaleziono go, krwią zbroczonego, z kulą pistoletową w piersiach. Czy było to dziełem przypadku, czy zamachem samobójczym, nikt nie wie. Dość, że po długiej i ciężkiej chorobie Coloma wstąpił do zakonu jezuitów i poświęcił się służbie Bożej i literaturze.

Na dwa tomy powieściowe, wydane w „Bibliotece dzieł wyborowych", złożyły się nowele następujące: A pfe! Żabiak, Kain, Tumany i kałuże. To był święty, Kwoka. Wszystkie te utwory odznaczają się plastyką stylu, siłą charakterystyki i dowcipem, skąpanym niekiedy w gryzącej ironii, a żadna z zalet powyższych nie doznała uszczerbku w pięknym przekładzie Hajoty.

*

Ostatnią powieścią, jaka ukazała się w wydaniu „Biblioteki dzieł wyborowych" są „Błękitni" utalentowanej i zawsze z zajęciem czytanej autorki „Dowajtisa", p. M. Rodziewiczówny. W „Błękitnych" autorka wyrwała szmat z życia naszej arystokracyi i rzuciła je przed oczy czytelnika takiem, jakiem jest i, w dodatnich charakterach powieści, takiem, jakiem to życie być powinno, upostaciowawszy je w osobie księcia Lwa Holszańskiego, który, odrzucony przez swoich, poświęca się pracy na wsi i dobrze czyniąc, ze znienawidzonego przez licznych podwładnych robi się w końcu pod wpływem b. rządcy swego, Grzymały, *sui generis* Marka z „Dewajtisa", oraz miłości jego siostry, którą w końcu zaślubia, ukochanym i uwielbianym niemal opiekunem opuszczonych i maluczkich. Powieść ze wzrastającem ciągle czyta się zajęciem, do czego przyczynia się zarówno świetny styl, jak i sposób obrazowania autorki.

*

„Macierz Polska" we Lwowie w roku zeszłym wydała tylko kilka dziełek, które razem wynosiły 30.000 egzemplarzy. W sprawozdaniu „Macierzy" znajdujemy taki ustęp o wyborach:

„W roku ubiegłym stwierdziło się ponownie doświadczenie, że peryod wyborczy niepomyślnie oddziaływa na zbyt ludowych publikacyj. Silna agitacya wyborcza, sięgająca głęboko w warstwy ludowe, zwłaszcza w zachodnich okolicach kraju, pochłania czas i uwagę inteligentniejszych włościan i odwraca ich od spokojnej lektury. Dało się nam to uczuć w ubiegłym roku, jednakże nie tak dotkliwie, jak dawniejszemi laty, nie wywołało bowiem w cyfrach obrotowych znaczniejszej redukcyi, choć stanęło na zawadzie ich wzrostowi".

Dochody „Macierzy" wynosiły w roku zeszłym 31.000, wydatki 25.000 K. Fundusz żelazny wynosi 77.000 K. — Towarzystwo oświaty ludowej w Krakowie rozpoczęło dziewiętnasty rok pracy. W roku bieżącym Towarzystwo ma 648 czytelń w zachodniej Galicyi, 85 we wschodniej i 2 na Śląsku. W przeciągu 18 lat rozszerzyło Towarzystwo 117.000 książek wartości 116.000 K.

*

„Bajka (poemat w jednej odsłonie) Andrzeja Niemojowskiego ukazała się w drugiem wydaniu.

Piękny ten utwór alegoryczny wystawiony był niegdyś na jednej ze scen warszawskich.

Wydanie obecne zdobi reprodukcya obrazu Kazimierza Wasilkowskiego

W obrazie tym wyobrażona jest scena ostatnia „Bajki", mianowicie chwila, kiedy Licencyat zasypia w rękach Śmierci w obliczu Szczęścia i Młodości, pomimo protestu Życia.

*

Karol Sheldon, znany nam dotąd z przekładów polskich jako autor „Ruchu etycznego", pisze powieści w duchu neo-chrześcijańskim. Jedną z nich mamy właśnie przed sobą w przekładzie Wojciecha Szukiewicza. Tytuł powieści: „W Jego ślady" („Jakby Chrystus postąpił").

*

Jerzy Orwisz (pseud.) utalentowany poeta i powieściopisarz, wydał w ostatnich czasach dwie książki: obrazek sielski wierszem „Z rodzinnych gniazd" i zbiór nowel p. t. „Okruchy życia". Obie te rzeczy budzą żywe zajęcie, jako owoce świeżego i szczerego talentu.

Ze świata.

Setna rocznica. W Berlinie otwarto wystawę z powody setnej rocznicy pierwszego użycia gołębia w komunikacyi pocztowej. Ze wszystkich stron Niemiec nadesłano doborowe okazy gołębi, z których zwracają na siebie uwagę dwie sławy, nie mające współzawodników. Jeden z nich, to siedmioletnia gołębica, która trzykrotnie zdobywała nagrody na konkursach; drugim jest czternastoletni gołąb, zwycięzca z San Remo, Wiednia, Pesztu i Arnolu. Świadectwa nieulegające wątpliwości stwierdzają, iż w pierwszych latach zeszłego stulecia znano już gołębie pocztowe, a używały ich do korespondencyi zaprzyjaźnione z sobą domy bankierskie, które tą drogą przesyłały sobie kursa papierów i wiadomości o zwyżce i zniżce cen zboża i t. p. Oczywiście gołębie ustąpić musiały telegrafom. Użyteczność ich stwierdzono znów w czasie oblężenia Paryża, gdy druty były poprzerywane. W ciągu ostatnich 30 lat w Niemczech utworzyło się 750 stowarzyszeń, hodujących gołębie dla armii, główna wszakże zasługa w prowadzeniu hodowli postępowej przypada hodowcom belgijskim.

*

Nowe źródło zarobku dla niewidomych. Zajęcie pozbawionych przez naturę najważniejszego zmysłu ludzi ogranicza się dotąd bardzo niewielu rzemiosłami. Nieszczęśliwi ci wyrabiają szczotki, koszyki, zajmują się introligatorstwem, bardziej uzdolnieni mogą mieć skromny zarobek, strojąc fortepiany. W Londynie utworzył się niedawno komitet, złożony z kobiet i mężczyzn, który postanowił udostępnić niewidomym masaż, jako nowy sposób zarobkowania. Próby wykazały, że niewidomi nadają się doskonale do tego zajęcia, mając zmysł dotyku niesłychanie wyczulony. Komitet ma zamiar, wykształciwszy szereg niewidomych masarzystów i masarzystek, urządzić w większych miastach specyalne zakłady, gdzie pod kierunkiem odpowiednim byliby oni czynni.

*

„Ateny chorwackie", duma chorwatów, „Wenecya chorwacka" i jak tam jeszcze zowią owo miasto dalmackie, znane u nas pod włoską nazwą Raguza, gdzie obradował niedawno zjazd dziennikarzy słowiańskich, wzięło początek ze starożytnej kolonji greckiej Epidauros (dziś Captat lub Stara Raguza). W powien czas po powstaniu miasta, część mieszkańców założyła nową siedzibę w pobliżu i od lasów, ciągnących się tam nieprzerwanie, nazwała ją Dubrownikiem. Dziś z lasów ledwie ślad pozostał. Miasto leży na gruncie kamienistym i nieurodzajnym i dlatego jego mieszkańcy musieli się wcześnie zwrócić do przemysłu i handlu, do którego ich Adryatyk zachęcał. Przez wieki rósł Dubrownik, dając za obronnymi murami schronienie licznej ludności, uciekającej przed ogniem i mieczem wojen i najazdów. Pomimo zależności od cesarzów bizatyńskich, zachował pewną samodzielność, której mu później nawet królowa Adryatyku, Wenecya, odebrać nie mogła, dając mu tylko wzory urządzeń i praw. Przez wzorową organizacyę i roztropną politykę swoich *conti* (wielkorządów), zwanych rektorami, zyskał z czasem pierwszorzędne stanowisko w stosunkach handlowych z Hercegowiną, Bośnią, Czarnogórą i Albanią, rozwijając ogromną twórczość przemysłową i popierając sztuki piękne. Rzeczpospolita dubrownicka, jak się do połowy XIV wieku nazywała, wzrosła w wieku XV do takiej potęgi, że potrafiła nietylko oprzeć się nawale tureckiej, ale wyzyskać wszystko, co się dało, aby otworzyć sobie drogi handlowe ku wchodowi i uczynić gród swój potężnem miastem nadmorskiem. Po zburzeniu Konstantynopola Dubrownik gościł w swoich murach znakomitych uczonych i pisarzy, którzy dali podstawę przyszłemu rozwojowi literatury, nauk i sztuk pięknych. Szczyt rozwoju literackiego dał osiągnąć Dubrownikowi w wieku XVII epik Jan Gundulicz.

Bańki mydlane.

Wojna, huk armat, poświst kul —
Tamerlan lub Bajazet,..
Wiadomo, znaczny mają wpływ
Na popyt pism i gazet!
Lecz gdy bojowy zmilknie szczęk,
Szeląga nieraz nie dasz!
A jednak bytem wielu pism
Uliczna gazet sprzedaż!
Tym — mimo wielki dobór piór —
(Zbadałem stan faktyczny)
Przychodzi często w pustce kas
Wieść żywot swój uliczny —
Często, wydawca, może rok
Nakładem w piecu palić!
Dlaczego? Powód jasnym jest:
Należy towar chwalić!

Trzeba, by roznosiciel czuł: co? komu? i jak pachnie? Inaczej kwiatek Grzeli da, a kożuch wręczy Kachnie...

Takim jest szczery pogląd mój (nie jestem obłudnikiem)...

Na dowód: *gratis* służę dziś właściwym podręcznikiem.

Gdy „chłopiec" wiejską ujrzy twarz,
Niech krzyczy z pełnej krtani:
„Dwie *kop!* depesza! nowy bank!
Dla ziemian kredyt tani!"

Inaczej wabić trzeba mu miejskiego postać łyka:

Dwie *kop!* Bulawary! trzeci most!
„Tramwaje! *elektryka!*

Węglarza łatwo skusi: mróz, zawieje w Europie!...

Na „bal na lodzie", „*corso*", „cyrk" poleci młode chłopię.

Panienkom — chociaż kłamstwo grzech, obarczy ci sumienie — w maleńkie uszko szeptem rzuć:

„Tr ech córek wykradzenie!"

Jeżeli facet z miny — zięć — po rozum rusz do głowy, wtykając numer, wołaj w głos:

„Okrutna śmierć teściowej!"

Na letnią porę, czy to w głos, czy chociażby na migi, o jednem haśle pomnieć chciej, a hasłem tem: „Wyścigi!"

Gdy zaś czasami figlarz los wydawcę spotkać zdarzy — wal prosto z mostu: Dwie.. dwie,. *kop!* mi... miljon egzemplarzy!

Ujmą go, ręczę, słowa te —
A jeśli człek nie głupi —
Dla poczytności sięgnie w trzos
I cały nakład,,. kupi! *El.*

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.